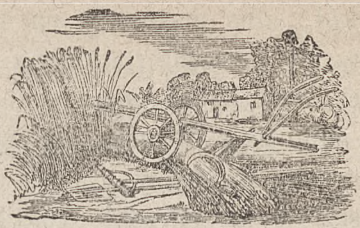
Tom II. 21. Sierpnia 1870. Nr. 6.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Chleb ma rogi.

III.

Furmanka nowych przyjaciół Walka składała się z prostego wasągu, ale para koni w nich warta była jakie ze trzy tysiące złotych. Uprzęż prosta, parciana dziwnie odbijała od ich urody, Walek jednak nie zwrócił na to uwagi, ani nawet nie zadziwił się, że dopiero za miastem wsiedli do wasągu, że miejsce furmana zastępował młynarz, i że zaraz zjechali z gościnca puszczając się w podróż bocznemi drogami. Gdyby u Walka była trzeźwa głowa, wszystko to możeby w nim obudziło jakie podejrzenie, ale po bawarskiem piwie, herbacie z arakiem i wódce w którą się na drogę zaopatrzono, Walkowi zdawało się że cały świat jego, i że w nim nie ma poczciwszych ludzi nad jego nowych znajomych. Jechano więc z gwarem, wybranie bocznej drogi wytłomaczono obawą aby na zwirówce konie źle okute nie podbiły się, a brak furmana amatorstwem młynarza lękającego się powierzać tak piękne konie w cudze ręce.

Gawędka na chwilę nie ustawała, śpiewano, żartowano i gdy dojechano do wioski w której wodny młyn szumiał czteremi kołami jakby się chciał swoim przypychem pochwalić, młynarz zatrzymawszy się przed nim rzekł:

— Wiecie co, możeby warto przypytać się, czyby tego młyna nie przedano?

— Dałbyś pokój, albo masz tyle na to pieniędzy co potrzeba? wtrącił przyszły destylator którego Adasiem nazywano.

— Co braknie to mi dopożyczysz.

— Nie rachuj na to mój Wicusiu, bo wiesz że na założenie destylarni wiele potrzeba pieniędzy.

— To mniejsza o to odrzekł cokolwiek rozgniewany Wicuś, ocierając łysinę z potu, nie dasz ty, to da poczciwy Wosio.

— A toś trafił jak kulą w płot, odrzekł Wosio, już targuję folwark to pieniędzy nie mogę rozpożyczać.

— To cię przypuszczę do współki, młyn razem kupimy a potem odprzedamy i zyskiem podzilimy się po równości. Wuj mój Zawidzki to na takim handlu kroci ów się dorobił, ja sam przecie już podwoiłem swoje mienie a tylko przerzuciłem przez swoje ręce dwa młyny. Jeszcze ze dwie takie szpekulacje a dójdę także do krociów; zakasuję wuja i dam wszystkiemu pokój, żeby używać i być panem całą gębą. Potem zaczęli opowiadać różne podobnie szczęśliwe interesa, jak z biedaków wychodzono na bogaczów, jak włościanie stawali się dziedzicami licznych włości, jak z małych zasobów przychodzono do wielkich fortun i w końcu dodano, że gospodarze co chowają pieniądze i trzymają je jak psa na łańcuchu, to za głupi i gdyby mieli cokolwiek rozumu, toby wprędce powychodzili na panów.

Walek słuchajac tego wszystkiego dziwnych doświadczał wrażeń. Wiedział że po ojcu sporo pozostało grosza, bo sięgał do niego często, i że to niezmiernie wygodnie tak bez frasunku mieć gdzie sięgnąć po pomoc. Ile go było nie wiedział, ale rozumiał dobrze, że byłoby to paradną rzeczą, zasoby ojcowskiej oszczędności podwoić i póty niemi obracać, ażby się zebrały pełne wory korcowe rubli i dukatów. Na tę myśl oczy mu się zaiskrzyły, policzki zarumieniły i serce zadygotało jak młotkiem. Zostać panem kröciowym i nic nie robić tylko używąć i używać, zdawało mu się takiem szczęściem, że już pragnąć czego innego nie można było. Gdy więc ruszyli dalej a rozmowa cokolwiek przycichła, Walek pomyślał w ciszy:

— Jużcie co prawda, tatuś nieboszczyk chybili że pieniądze trzymali w ukryciu; gdyby ci poczciwi ludzie chcieli mnie przypuścić do spółki, tobym im nogi ucałował.

— Słuchaj Wicusiu, odezwał się Adaś wychodząc jakby z wielkiego zamyślenia: rozważywszy wszystko gotów jestem zostać twoim wspólnikiem ale tylko w takim razie jeżeli zatargowanego już folwarku nie kupię. W każdym razie zamawiam sobie pierwszeństwo przed innymi i spodziewam się że jako mój przyjaciel nie odmówisz mi tego.

— Przyrzekam, odrzekł Wicuś, i daję na to słowo honoru.

— To i ja sobie zamawiam pierwszeństwo odezwał się Wosio.

— I tobie przyrzekam, ale pamiętajcie sekret jak największy, bo w interesie każdym zyskownym tajemnica to rzecz najważniejsza. Pan Walenty wiem że nas nie zdradzi a wspólnika już więcej żadnego nie przyjmę.

Waluś usłyszawszy tę prożbę aż pobladł i zadygotał jak w febrze. Zdawało mu się że już siedzi na pełnych worach dukatów i że mu te wory nagle wyciągnięto i wrzucono w rzekę. Drżącemi ustami wyjąkał zatem.

— Nikomu o tem nie trunę ni słoweńka, ale gdybyście mnie panowie chcieli wziąść do współki...

— Ciebie? zapytał Wicuś ze zdziwieniem a z czemże? Czy może z tym woreczkiem co go masz przy sobie z kilku rublami?

— Znajdzie się ich więcej w domu, mruknął Walek.

— Może pięć albo dziesięć najwięcej, to mi suma!

— I kupka jaka miedziaków od soli zaśniedziałych dołożyli drudzy towarzysze ze śmiechem, gdzie tobie biedaku myślec o szpekulacjach...

— Ja nie biedak! przerwał Walek zaperzony bełkocząc pijanym językiem, ja bogacz jakiego we wsi nie ma równego. Po tatusiu zostało pieniędzy jak lodu a same ruble, będzie ich może ze ćwiartka.

— Albo to prawda? Na tak wielką sumę to trzebaby skrzyni dobrze okutej.

— Prawda, prawda wrzeszczał Walek bez upamiętania, a mnie biedactwa nie zadawajcie bo ja bogacz.

— Nie chwal się na próżno, bo temu nie uwierzę, aż zobaczę.

— To pokażę wrzasnął znowu Walek, nawróćmy do domu...

— Poco napróżno się chwalić, odezwał się Wicus z szyderstwem nie wiem gdziebyś chował tak grube pieniądze? Może w beczce z kapustą?

— Mam je w komorze! wrzasnął Walek.

— A to w sadle pewno zaszyte, wtrącił Adaś, bo to chłopski obyczaj...

Dwaj drudzy towarzysze rozśmieli się na to całem gardłem, Walek pokraśniał wstydem że go o chłopski obyczaj posądzono, i tracąc wszelkie upamiętanie zawołał ze złością:

— Bajka! mam je pod beczką z owsem w ziemi zakopane, a wy mi nie zadawajcie chłopskiego obyczaju bo jak którego zamaluję, to mu...

— No, no, dajmy temu pokój, przerwał Wicuś, żartom należy przebaczyć, a ja nie dam synowi mego przyjaciela dokuczać. Ot lepiej zapijmy całą sprawę, i uderzając kieliszek o flaszkę zaśpiewał:

Gorzałeczka grunt,
I tytoniu funt
I obcasy z podkówkami,
A kapelusz ze wstążkami,
Hoc! ha!

Kieliszek poszedł koleją, Walek zupełnie pijany zapomniał urazy, sciskał, całował wszystkich a na dowód że się nie gniewa i że zostaje wspólnikiem w interesach mających krocie przynieść w zysku, do każdego osobno wypił po kieliszku wódki potem coś zabełkotał, i wyciągnąwszy się jak długi w wasągu zasnął jak nieżywy.

Dobrym już zmrokiem mniemani przyjaciele zajechali przed dom Patyjaków w Gazdowie. Matka zobaczywszy bez duszy leżącego syna w wasągu, z rozpaczą załamała ręce.

— Nie frasujcie się odezwał się Wicuś nic mu nie będzie, wyspi się i będzie zdrów jak ryba. Spotkalimy go idącego na drodze, a że porządnie zaganiał kaczki, więc wywiedziawszy się gdzie mieszka, żeby nie popadł w jakie nieszczęście, zabraliśmy go z sobą i tu przywieźli...

— A niech że panom Bóg wynagrodzi ich poczciwość, zawołała biedna matka, i czemże się za to wywdzięczę?

— Dobrem słowem moja matko to za wszystko starczy. Wy zaś nasz przyjazd z Walkiem zachowajcie w sekrecie, bo coby ludzie powiedzieli gdyby się dowiedzieli, że wasz syn uległ takiemu wypadkowi?

— Prawda, prawda, nie powiem nikomu ni słoweńka. We wsi już spią, parobek pojechał z końmi na pastwisko a dziewka spi w stodole to o niczem wiedzieć nie będzie.

Walka jak barana wyciągnięto z wasągu i przeniesiono do izby i kiedy matka zajęta była zdejmowaniem z niego ubrania, Adaś dopomagał jej a Wicuś rozglądał się po izbie i po sieni szukając zapewne wejścia do komory.

— Gdybyście matko, odezwał się, wreszcie dali nam z kilka garncy owsa, ale nie darmo, za zapłatą, tobyśmy popaśli koni i nad rankiem pojechali w swoją drogę.

— Z miłą chęcią, odrzekła Patyjakowa, dla takich poczciwych ludzi choćby krwi własnej tobym nie żałowała.

Komora nie miała zamknięcia tylko ryglem była zasunięta, a kiedy Patyjakowa garncem sypała owies z beczki do worka, Wicusiowi tak się oczy zaiskrzyły, że zdało się iż rzuci się na nią, ale go powstrzymał Adaś kładąc palce na ustach. Patyjakowa za owies nie chciała przyjąć żadnej zapłaty, więc ją poczęstowano wódką a że była słodka i bardzo smakowita, za jednym kieliszkiem poszedł drugi, trzeci i czwarty, dość że w godzinę niespełna poczciwa ale nieoględna kobieta, uczuła że się jej w głowie kręci a izba lata w około jakby w tańcu. Usmiechając się więc, podziękowała gościom za poczęstunek i nie czekając aż wyjdą z izby, rzuciła się na łóżko nierozebrana. Goście więc nieznajomi zostali panami całego domu, wódka zrobiła swoje, odebrała rozum a bez rozumu człowiek przestaje być człowiekiem. Ludzie niektórzy na gorzałkę strasznie są łakomi, szczególniej przy poczęstunku gdy to nic ich nie kosztuje.

Co się dalej działo w domu Patyjaków, to cisza nocy i ciemność zakryły. Kiedy parobek świtaniem wrócił z pastwiska, zastał wrota rozwarte i tylko dostrzegł ślady wozu że ktoś wjechał nim na podwórze i potem wyjechał. Gospodyni spała,

Walek chrapał i choć słońce już zaczęło wyglądać po nad pola i łąki zakrzątnienia około domu żadnego nie było widać. Zdziwiło to wszystko parobka, zbudził więc najprzód dziewkę, ale ta w niczem go nie umiała objaśnić. Rozbudzona Patyjakowa, błędnem okiem powiodła wkoło, chciała zapytać o swoich gości, ale się powstrzymywała przypomniawszy zalecenie, aby Walka nie podawać na obmowę złych języków. Gdy więc parobek się spytał, ktoby w nocy zajeżdżał na podwórze, odrzekła:

— A ktoby miał zajeżdzać? widziało ci się mój kochany.

— Przecież są ślady świeże, a nasz wózek nie ma takich kół szerokich.

— Ej! bajesz nie wiedzieć co. Jedź lepiej w pole z pługiem. Parobek pokręcił głową ale nie dał się przekonać: dziewka także pokręciła głową i równie zdumiona została. Walek o śniedannych godzinach podniósł się dopiero z łóżka z mocnym bólem głowy. Przeszukał w kieszeniach ubrania i nie znalazłszy woreczka zamyślał się chcąc sobie przypomnąć co się z nim stać mogło. Przebyte zdarzenia w ciągu upłynionego dnia przemykały mu się po głowie jak senne marzenia. Nad wieczorem wielki zrobił się we wsi popłoch. Trzech żandarmów przyjechało do wójta i spiesznie udali się do jego kancelarji.

(D. c. n.)

ROLNIK.

Cztery wołki na ugorze
Ciągną pług przez pole,
Dumkę nucąc rolnik orze;
Nie wie jaką rolę.

Gdzie toczono bój z Tatary,
Zboże mu wyrasta:
Wiek z pamięci wypadł stary
Podolskiego Piasta.

Nie wie kto mu kruszył pęta,
Kto mu niósł zniszczenie.
Sercem ledwie zapamięta
Dziada pokolenie.

Dziad coś mówił o zaborach
W dalekiej przeszłości...
Pług zaskrzypiał nagle w z-orach,
Wyrył miecz i kości.

Rolnik stanął śród rozłoga,
W sercu żal się budzi!
Westchnął, pacierz wzniósł do Boga,
Za pomarłych ludzi.

Prośba.

Błogosław Boże rolnika dłoni,
Nie dopuść nigdy nań głodu.
Gdy sieje, niech mu skowronek dzwoni;
Gdy zbiera, użycz mu chłodu.

Błogosław ludziom, którzy twą wolę
Spełniają w bratniej miłości.
Jasną im ciszą opromień dolę;
Twój anioł niech u nich gości.

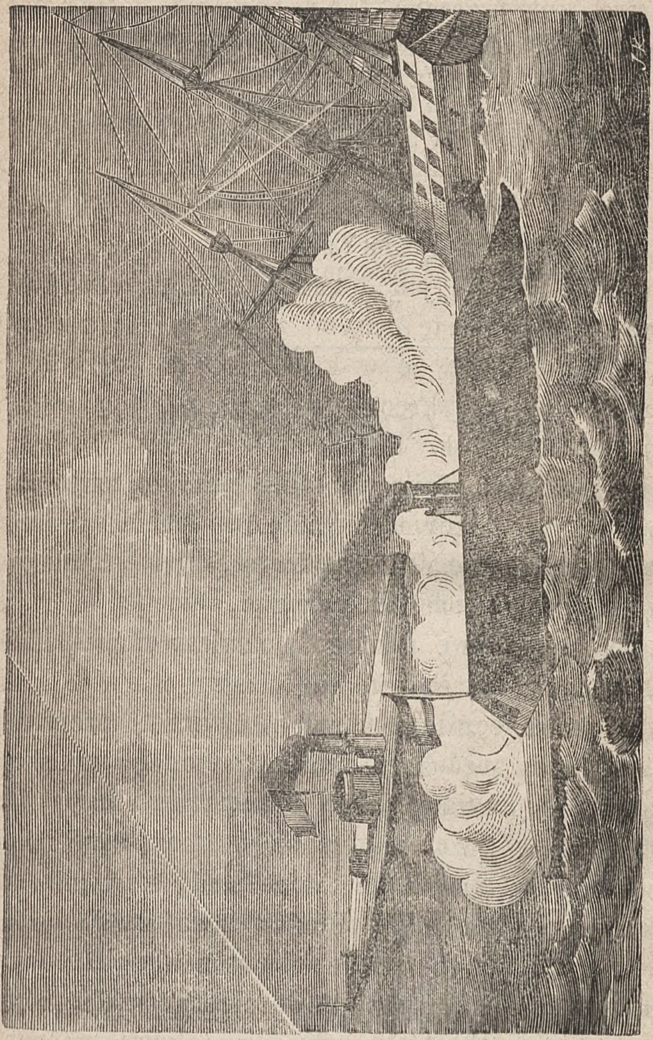
Nam budzicieli wielkich o! Panie,
Harfiarzy daj miłujących —
A kiedy naród zbudzon powstanie,
Daj wodzów w naród wierzących!

Nowe okręty wojenne.

Nieraz czytamy i słyszymy o bitwach, co to je na morzu ludzie toczą, gdzie okręty wzajemnie na siebie uderzają i bój z sobą toczą. Od dawna już podczas wojny starano się nieprzyjaciela nie tylko na lądzie pobić, ale też i na morzu szkody mu powyrządzać. Dlatego poumieszczano po okrętach wojennych armaty, po największej części wielkie: kula z takiej armaty przebija nieprzyjacielski okręt — przez powstały otwór wpada woda, a okręt, jeżeli tę wodę wyczerpać nie zdoła, musi tonąć. Dawniej jeden okręt rzucał hakami i przyciągał drugi; — wówczas załoga wpadała na okręt nieprzyjacielski i toczyła bitwę pałaszami, strzelbami, toporami, zupełnie jakby to nie na wodzie było. Ponieważ zaś takie napadnięcie za dużo wymaga zachodu, przeto od czasu wynalezienia prochu, starają się głównie o to, by okręt nieprzyjaciela rozbić lub zatopić, waląc w maszt i w ściany okrętu olbrzymiemi kulami armatniemi.

A więc pomimo najbardziej zdolnych dowódzców na okręcie, pomimo to, że żołnierze bardzo odważni i waleczni, lada kilka kul dobrze wymierzonych z nieprzyjacielskiego okrętu może okręt zatopić i załogę całą życia przez to pozbawić. Zaczęli więc ludzie przemyśliwać — zaczęli okręty, które

są z drzewa zbudowane, obijać blachami grubemi. Ale i to nie wiele pomagało, — gdyż wielkie kule i grube blachy przebić mogły. Aż dopiero niedawno wynaleziono nowy sposób obronienia okrętów — w ogóle nowe okręty wojenne tak zwane pancerniki i monitory. Ot na przykład podczas tej wojny teraz



Monitor.

czytaliśmy w gazetach, że Francuzi wysłali flotę, to znaczy kilkadziesiąt okrętów na morze nazwane Bałtyckiem naprzeciw Prusakom, między tymi okrętami kilka pancerników i dwa monitory. Cóż to znaczy? cóż to są pancerniki?

Pancerniki są to okręty parą poruszane, bardzo silnie zbudowane, które aby być bezpiecznymi od kul, pobite są nie

blachą, ale raczej potężną, bo na 9 i więcej cali grubą cegłą żelazną, czasem nawet podwójnie i potrójnie jak dach w karpiówkę układany, tak że jedna cegła niby rybia łuska za drugę zachodzi a cały okręt jakby w pancerzu się znajduje. Do tego okręty te bardzo mało co po nad wodą wystają. Niepodobnem więc taki okręt kulą przeszyć. Monitorami znowu nazywają okręty pancerne tak zbudowane, że właściwie okrętu takiego wcale z wody nie widać, bo cały w wodzie jest zanurzony, tak że tylko dach czyli pokład kryty, miejscami z wody wygląda. W środku tego pokładu, jak to na naszym obrazku widno, wznosi się wieża żelazna, bardzo silnie zbudowana z grubych belek żelaznych i nadto grubą żelazną cegłą pokryta. W tej wieży jest armata, zwykle tylko jedna, ale bardzo wielka, wyborna i wypróbowana. Wieżę tę razem z armatą można obracać, czyli kręcić w koło tak, że w każdą stronę strzelać można, a nie potrzeba okrętu wykręcać.

Bywają także okręty tak zwane taranowe to jest rozbiacze. Są to zwykłe monitory, które jeszcze przodek, czyli dziób okrętu mają bardzo mocno zbudowany, okuty i przyrządzony w olbrzymi kolec. Takie okręty są na to przeznaczone, żeby na statki nieprzyjacielskie uderzać z wielką siłą i w największym pędzie takowe przebijać, dziurawić i przełamywać. Okręta taranowe sprawiają ogromne straty; nie wdają się one wcale w strzelanie, lecz idą wprost na okręt nieprzyjaciela, a rozpuściwszy cały pęd swój, uderzają to z boku, to z tyłu, lub w przodek nieprzyjacielskiego okrętu i takowy niweczą, gdyż to przodek, to tył mu odrywają, lub też w dwoje go rozłamują, tak że wszystko marnie w głębinach morskich ginie.

Monitory i taranowe okręty to niedawny wynalazek amerykański; okuwanie okrętów w pancerze także niedawne; wymyśleli to Francuzy. W Ameryce w wojnie przed sześciu i siedmiu laty kilka razy temi okrętami walczono i takowe wypróbowano.

Był tam mianowicie jeden taranowiec, ale tak potężny, że mu się żaden okręt oprzeć nie zdołał; wszystko rozbijał i druzgotał swym żelaznym dziubem. Ale i na niego znalazł się majster taki, że mu dał radę. Komendant nieprzyjacielskiego okrętu łudził go przez cały dzień i calusieńką noc, wciąż się pokazywał i znowu uciekał ze swym okrętem. Widocznie

chciał go w pole wyprowadzić. Nad ranem znowu mu się pokazał. Taranowiec rozpuścil całą siłę i wprost pędzi na nieprzyjaciela, grożąc roztrzaskaniem Nieprzyjacielski okręt bok nadstawia, ale w jednej chwili jak błyskawica uciekł, — taranowiec przeleciał i w szalonym pędzie sam się zdruzgotał o skałę pod wodą w drobne kawałki. Ma się rozumieć, że nieprzyjaciel umyślnie w taką go matnię wprowadził, i takie mu dobre miejsce wybrał.

Wychowanek wioski.

II.

Minęło dni kilka od ostatniego zdarzenia. Pawełek jak u Boga za piecem siedział w chacie poczciwego Macieja. Maciejowa nie wiedziała czem chłopczynie dogodzić, tak ją to radowało, że biednego Pawełka przytulić mogła. Dobre bo też to było kobiecisko; po stracie własnych dziatek, z których jeden tylko syn się wychował i był księdzem w Krakowie, wydawał jej się Pawełek jako jej własne ukochane dziecko. To też i koszulki mu z własnej poszyła bielizny, i codzień bywa rano chłopczyka umyje, i włoski mu rozgarnie czarnuchne i gładko uczesze te bujne kędziorki, i w jasne czołko pocałuje, i popieści, i z tych czarnych cząt łezkę zetrze, co ciągle chłopczynie się nasuwa. Tymczasem Maciej żywo się dalszym losem Pawełka zajął. Poszedł po znajomych, pogadał z tym i owym i sprosił ich wszystkich na wieczór w sobotę do swojej chaty.

W sobotę wieczór wszyscy co znaczniejsi gospodarze zeszli się w chacie Macieja. Maciej rad, że go posłuchali, i radzić o sierotce przybyli, zasadził wszystkich za długim stołem. Gdy usiedli, Maciej tak prawić zaczął:

— Oto sprosiłem was, moi sąsiedzi i przyjaciele, byśmy wspólnie co uradzili. Wszyscy wszak wiecie, jakto pana naszego nieboszczyka brat nad pozostałym sierotką się znęca. Wziąłem sierotkę do siebie, bom patrzeć nie mógł na to katowanie tego ukochanego dziecka. Teraz moi sąsiedzi zdaje mi się że to nas wszystkich jednako obchodzić powinno, że

każden z nas przez pamięć dla nieboszczyka, dziecku jego nie powinien dać krzywdy robić. A wiecie wszyscy, nieboszczyk pan to dobry był pan: ot wam Jacku, pamiętacie gdyście pogorzeli, to i drzewa dał z lasu na odbudowę, i słomy na poszycie dał i groszem zapomógł. A wam Janie, gdy żona zaniemogła, toć doktora sprowadził, i na leki dawał, i sam przychodził, dowiadywał się, i lepszą strawę niebodze posyłał, póki nie pozdrowiałą. A waszego syna Jakóbie, toż to on od wojska uwolnił; on staroście przedstawił, że wy starzy już i syna wam potrzeba dla pomocy. A na przednowku toż on nam wszystkim pomagał i groszem i zbożem. Każdemu w biedzie on był ojcem prawdziwym. Wszystkich on nas kochał, i był nam nie hardy, ale jak przyjaciel najlepszy. Toż teraz jedyna dziecina jego idzie w poniewierkę. Przytuliłem biedactwo do siebie i nie dam go napowrót do dworu, ale cóż z tego, mnie nie stać na to by lepszy los dziecku zrobić. A radbym Pawełka gdzie do szkół wysłać i uczyć kazał, bo wszak to zawsze mu się należy. Syn mój w Krakowie księdzem, ale on jak biedny wikary nie wiele co pomódz by mógł. Przeto sprosiłem was, moi sąsiedzi, żebyście wspólnie co uradzili.

— Ej, co tam mamy radzić, odrzekł Walenty, co go to Burczymuchą zwali, za to że mu nic nie było na rękę, że wszystkiemu przeciwić się musiał, co mamy radzić, to pańskie dziecko, nie nasze, to niechby tam i przepadło, ta co nam do tego...

— A Boga w sercu nie macie Walenty; odparł Jacek, a cóżto pańskie, czy nasze? czy to nie wszystko jedno? Każden pan to nasz sąsiad, a więc zarówny nam, a jeżeli on dobry jest, to on więcej niż sąsiad, to on nasz ojciec. Jużci złemu panisku, jak ten teraz, to nie dałbymci sobie w kaszę wpluć, ale jak pan dobry, tobym mu i krwi z pod serca utoczył, tobym mu i serca dał połowę. A taki dobry był nieboszczyk, toż dziecko jego ratować, to nasz swięty obowiązek.

— No, to bo nie gniewajcie się, wszak ja to tak źle nie sądził, odrzekł Walenty, i jabym sercem rad, ależ bo...

— Ej, co tam długo radzić, wyrzekł Jan, co to najstarszy ze wsi całej, ot złóżmy się, postanówmy, na wiele kogo

stać, i wyszlijmy naszego Pawełka do szkół do Krakowa. Tam go umieśćmy u syna Macieja, ten mu krzywdy nie zrobi, bo poczciwy z kościami jak ojciec nasz księżulo, u niego nasz Pawełek poduczy się, a z czasem wróci na wioskę, i napędzi tego niegodnego swego stryjaszka. A nam i uszczerbku wielkiego nie zrobi tych kilka reńskich, co to rocznie na to wydamy, Bóg nam tę naszą dobrą chęć zapamięta...

— Dobrze powiedział, niech żyje długo nasz Jan, wykrzyknęli wszyscy; a Maciej to już się rozradował z całej duszy przyskoczył do Jana, i nuż go ściskać i całować. I wszyscy sięgnęli do trzosa zaraz i złożyli, co każden mógł grosza na początek.

Maciej szczęśliwy radby wszystkim nieba przychylił za ich poczciwość i złote serca. Toż kazał żonie przynieść wina, co go to miał jeszcze od dawnego pana w podarku, i raczył wszystkich kolejno.

A Jan pochwycił Pawełka, ucałował serdecznie, i krzyknął:

— Niech żyje nasz Pawełek, już nie sierotka, bo my mu wszyscy ojcem będziemy, i opiekunem czułym. Niech nam się chowa, i nas kiedyś pokocha, jako my jego kochamy.

Wszyscy byli szczęśliwi bo w poczuciu dobrego uczynku swojego. A najszczęśliwszym był Maciej stary, on płakał i cieszył się, że taka zgoda u wszystkich, że takie złote serce w tym naszym polskim ludzie.

III.

Jak zgromadzeni u Macieja gospodarze postanowili, tak też i zrobili. Wysłali Pawełka na wspólny koszt do szkół do Krakowa. Maciej sam zawiózł chłopczyka i umieścił go u swego syna, wikaryusza. Tam to chłopczyna pod dozorem i światłą radą poczciwego wikarego do szkół chodził i uczył się. Choć nieraz zapłacze jeszcze, ale dobry księżunio jak to zobaczy, to zaraz go popieści i uspokoi. A uczy też się pilnie, i choć maleńki, wciąż myśli o swych dobrodziejach, co go z niedobrej ręki stryjaszka wyrwali wciąż myśli, jak i czy im to kiedy będzie mógł odwdzięczyć.

A stryjaszek aż pęka ze złości. Z początku, gdy nie wiedział jeszcze o niczem, to i kontent był, że gdzieś licho

chłopca porwało. Ale skoro mu powiedzieli, że to gromada Pawełka na swoją wzięła opiekę, to się wściekał z wielkiego gniewu. Poleciał do Macieja, nałżył, nahańbił, a tu stary Maciej najspokojniej mu odpowiada:

— Ej, co tam jegomość gada i tak się sroży; taż to nam serca posmutniały jak jegomość tak się pastwili ztem niebożątkiem; tośmy i dalej nie mogli przyzwolić na jegomości postępowanie, ta wzięliśmy Pawełka, i da Bóg to już go lepiej pokierujemy na uczciwego człowieka..,

— Dam ja wam wszystkim, krzyknął panisko, ja wam tu żandarmów naszlę; i prędki z wami porządek zrobię, toż to ja sądowym opiekunem przecie, dokroć set...

— Niechno jegomość tak nie wykrzykuje, ta nie grozi tak bardzo. Już to my się nie ulękniemy za nasz dobry uczynek; pójdziemy do sądu, zaświadczymy... a chyba by sprawiedliwości nie było, żeby dalsza krzywda dziać się miała. Mnie nieboszczyk przy ludziach, co to świadczyć mogą, polecili czuwać nad synem pod swoją nieobecność. I pewnie byłbym lepiej czuwał, gdyby jegomości było licho nie naniesło.

— Co? ty śmiesz nikczemniku w mojej przytomności huknął obruszony do żywego stryjaszek.

— Daj bo jegomość pokój, ja tu tak dobrze panem w mojej chacie, jak jegomość w tym pożyczanym dworze, wolno mię skarżyć, a obrażać nie wolno bo tu moja chata, i wskazał wymownie na otwarte drzwi.

Stryjaszek pobladł ze złosci na widok tej energii starego Macieja, ale widział że go nie ugnie, to też zamruczał jakieś przekleństwo i wyniósł się z chaty.

A Maciej poleciał po sąsiadach, pogwarzył z tym, i owym, pisarza zawezwał i na drugi dzień z kilkoma starszymi pojechał do miasta wprost do powiatu. Tu całą rzecz wytłumaczyli i niegodziwość stryjaszka opowiedzieli. W powiacie sąd uznał to wszystko, i zamianował Macieja w imieniu gromady opiekunem Pawełka w miejsce niegodnego stryjaszka. Zarząd tylko majątku pozostał przy stryju.

A tymczasem w Krakowie Pawełek jak najpiękniej się rozwija. W szkole toż go nauczyciele wszyscy lubią za jego pilność i dobry postęp w naukach. A rówieśniki co to z nim

razem do szkoły chodzą, to już od serca go kochają. Dla wszystkich dobry, uprzejmy, aż miło. Ksiądz wikary to co miesiąc pisze do ojca swego Macieja o sprawowaniu się Pawełka. A stary Maciej zaraz zwołuje starszych i opowiada o ich wychowanku.

Po skończonym roku Pawełek dostał bardzo ładne świadectwo od swych nauczycieli, i pojechał, na parę dni odwiedzić swych opiekunów we wiosce. Toż to była radość, gdy go obaczyli, bo chłopczyna urósł, wyładniał i jakoś weselszem już okiem na świat spogląda. Stryj dowiedział się i chciał go przemocą wydrzeć, ale włościanie dobrze czuwali i nie dozwolili nato.

I tak minęło lat kilka, nadeszła wiosnac obecnego roku. Pawełek z dziecka urósł w dorodnego chłopaka, aż radość była na niego popatrzeć. Lat ma piętnaście a takie to rozumne, tak mile spogląda i przemawia, prawdziwie kochany młodzieniec.

Aż tu ni ztąd ni z owąd wpada raz stryjaszek do chaty Macieja, taki łagodny, taki uprzejmy, taki słodki. Maciejowi coś nie spodobała się ta nagła przemiana, coś pokręcił wąsa niedowierzając, pokiwał siwą głową ale siedzieć prosił i słucha. A tu stryjaszek oświadcza się, że uznaje złe co robił, że już odtąd jak najlepiej będzie z Pawełkiem postępywał, byle mu go tylko oddano.

Ani słowa na to nie odrzekł Maciej, zadumał się tylko, i myślał, coby to być mogło ta tak nagła zmiana, zkąd wraz taka dobroć? Stryjaszek nalega, prosi, wreszcie Maciej mówi:

— Niechby tam i co — to już opiekowaliśmy się przez siedem prawie lat Pawełkiem to i dalej zdołamy; niech on już przy nas zostanie. Panu Bogu dziękować, że jegomość uznał krzywdę, ale Pawełek to już naszym niech będzie wychowankiem, aż póki nie dorośnie.

I na tem się skończyło; — stryjaszek poszedł, a Maciej gubił się w domysłach i niewiedział, i pojąć nie mógł tej nagłej zmiany w sercu stryjaszka.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozmaitości.

— Przebiegłość cygańska. Przy poborze wojskowym w pewnem mieście węgierskiem zjawili się między innymi jako popisowi: syn jakiegoś bogatego młynarza i biedny cygan. Młynarczykowi udało się podobno zjednać sobie urzędnika, cygan zaś nic mu dać nie mógł Wszyscy powołani już losowali, pozostał jeszcze tylko protegowany młynarczyk i cygan, a brakło jeszcze jednego człowieka do kontygensu, który miał być stawiony przez dany obwód. Coraz silniej biło serce zaniepokojonemu cyganowi: z tego zwlekania i pozostawiania go na sam koniec z bogatym młynarczykiem, powziął podejrzenie i przeczuł podstęp. Obaj mieli do losowania przystąpić. Baczny na wszystko cygan z nieufnością rzucał dokoła okiem, i zdawało mu się, że miasto jednej czarnej a drugiej białej gałki, obie gałki w fatalnej urnie były czarne. „Ciągnij cyganie!“ zawołał urzędnik. Cygan się przestraszył, ale opierał się rozkazowi z pozorną pokorą i uniżonością: „Ach panie! przecież ja sobie jestem biedny cygan: jakżebym mógł mieć tyle zarozumiałości i zuchwalstwa, bym śmiał pierwszy gałkę ciągnąć? Coby to o mnie pomyślał oto ten młody, wielmożny panicz? Nie chcę go obrazić, nie mogę ciągnąć.“ „Czy ty będziesz ciągnął przeklęty cyganie?“ „Nie, nie! niechaj mnie Bóg strzeże, żeby mi coś podobnego miało przyjść do głowy.“ Wszystkie jednak uwagi niespokojnie kręcącego się cygana były bezskuteczne. „Ciągnij cyganie bo...“ Znaczący wzrok urzędnika zwrócony na panów hajduków przypomniał cyganowi, że ta ręka sprawiedliwości mogłaby zastosować doń niektóre paragrafy prawa natury, które od dawna dla cygana rosły w krzaku leśnym. Cygan zbliżył się zatem do fatalnej urny, jak najwolniej sięgnął do niej ręką, szybko wyciągnął jedną z czarnych gałek i w okamgnieniu ją połknął. Świadkowie tej sceny z niewymownem zdumieniem spoglądali na biednego cygana, ze wściekłością spoziera! nań urzędnik. Jedno tylko przelotne tryumfujące spojrzenie rzucił z pod oka cygan na młynarczyka. „Wyciągnąłem moję gałkę, teraz niechaj tamten losuje.“ Młynarczyk przystąpił do losowania i czarną wyciągnął gałkę.

— Nieszczęśliwy wypadek. Z Wrocławia piszą: Tamtego miesiąca wydarzył się na rzece Odrze nieszczęśliwy wypadek. Powracający z mustry batalion 1. szląskiego pułku grenadyerów Nr. 10. chciał się na promie przewieść przez Odrę. Wsiadły do promu 2 kompanie (400 ludzi), a do łódki płynącej obok promu wsiadło też pełno żołnierzy. Prom posuwał się przy grubym łańcuchu. Gdy się znajdował na środku rzeki, uderzyła przypadkiem obładowana łódka o prom tak silnie, że się przewróciła, a wszyscy w niej się znajdujący żołnierze w wodę wpadli. Żołnierze będący w promie chcąc ratować kolegów zbili się nagle na jednę stronę promu, przez co ten stracił równowagę, a nabrawszy wody zanurzył się i poszedł do gruntu. Żołnierze obładowani pakunkiem czepiają się jeden drugiego i łańcucha jako i belek podawanych im z rozmaitych czółen. Wyratowano wszystkich. Spieszna pomoc lekarska

z bliskiego garnizonu dwudziestu do życia przywróciła, trzech nie zdołano ocucić, a reszta ocalała.

Złodziej. Wieczorem żydowina jadąc obaczył na polu stertę siana myślał, że tam nikogo niema, chcia tedy nabrać sobie siana. Idzie więc powoli do sterty, a gdy się już zbliżył do niej, rzekł: dobry wieczór kopicy. A z poza kopicy wyleciał chłop i pociągnął patykiem żyda po plecach mówiąc: daj ci Boże zdrowie kupcze!

Złote ziarna.

Wtenczas powiesz człowieku, żeś godzin zbawienia,
Jeśli zdołasz wniść w piekło, i nie czuć płomienia.

Cierpi człowiek bo służy sam sobie za kata,
Sam sobie robi koło, i sam się w nie wplata.

Do nieba patrzysz w górę, a nie spojrzysz w siebie;
Nie znajdzie Boga, kto go szuka tylko w niebie.

Do raju drzwi otwarte, ale rzadki zdoła
Przebić się przez ogniste miecze Archanioła.

Ile się dusza wzruszy, tyle Boga wzruszy,
O ile dusza w Bogu, o tyle Bóg w duszy.

Ten może deptać węże, głaskać lwy i tury,
Kto wyrwał z siebie żądło, rogi i pazury.

Kiedy pierwszy raz wnijdę w jakie zgromadzenie,
By poznać ludzi zważam ich pierwsze spojrzenie,
Rozsądni naprzód spojrzą na mą nogę prawą,
Głupi naprzód na lewą, którą mam kulawą.

Wszyscy walczą dla dobra, któż używać będzie?
Błogosławiony cichy, ten ziemię posiędzie.

Niebo samo nie spadnie, trzeba je osiągnąć,
I Pan Bóg sam nie stąpi, potrzeba go ściągnąć.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza